

Nowiny TYGODNIA

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich“

W numerze:

Ignacy Wirski — Decyzja

Irena Pitulanka — „Mewa“ (Czajka) Czechowa

Jachszaroni — Okruchy literacko-historyczne

„Więcej poetów dobrych i różnych“

Jerzy Hordyński

W ROCZNICĘ ŚMIERCI POETY

Czeladnik u Kochanowskiego, tak nazwał siebie skromnie i dumnie, ale zarazem bardzo trafnie. Najwspanialszą tradycję poetycką Ildelfons Gałczyński łączył z najmielszą nowoczesnością. Później wąski zakres przedmiotów, które przyciągały jego wyobraźnię, poszerzał siłą talentu o ogromne kontyenty nieznanymi wzruszeń. Wyświetlane rekwizyty poetyckie nabierały cech świeżości i nowości pod dotykem poetyckiego pióra. Była w tym magia czarodziejskiego słowa, ale było i coś więcej: uczciwy, rzetelny, ludzki stosunek do świata. Świat dla poety nie stał na koturnach, nie był ulepiony z patosu, nie składał się z zasuszonych doktryn i wzniosłych aforyzmów. Świat Gałczyńskiego, to zarówno trzy dzioby wronie, warkoczek dziewczęcy, lampa, strugi deszczu, jak pokój, Polska, Bach i pieśń rewolucyjna.

Rzeczy wielkie obciążające codziennymi stawały się same proste i powszednie, jak chleb i sól — a równocześnie nieodzowne do życia.

Trudno nam się pogodzić z faktem, że już nigdy nie ujrzymy nowych wierszy Gałczyńskiego, że nie zareaguje swoim piórem celnym i odważnym na to, co nas będzie cieszyć i smucić, że już nigdy nie odezwiwie się więcej. Od roku skrzętnie poszukujemy nieopublikowanych dotąd fragmentów jego poezji, docieramy do niedokończonych poematów, urywków, staramy się dopełnić myślą brakujące słowa. I tak co pewien czas pojawia się w druku jakiś nieznanymi wiersz, czy poemat, dając na chwilę złudę trwania pękniętej struny. Niestety, coraz rzadziej pojawiają się te utwory i pewnie bliższy już dzień, gdy szuflada biurka poety będzie pusta. Stąd prośby i apele do tych wszystkich, którzy posiadają utwory zmarłego, aby nie trzymali ich w ukryciu i pozwolili opublikować. Nawet jeśli uważają, a znam taką jedną osobę w Krakowie, że były pisane tylko dla nich i ogłaszanie ich nie należy. Twórczość poety jest własnością całego narodu, a dzieło jego przy najbardziej osobistym adresie jest również adresowane do wszystkich, co czują i kochają. Czy trzeba powtarzać te komunały?

Dlatego droga koleżanko, rozwiąż supełek i rozsyj przed ludźmi perły wspaniałych wierszy, które dotąd trzymasz w ukryciu. Wdzięczność czytelnicy podzieli między autora i Ciebie, a czegoś ci więcej potrzeba?

Zmarłych czcimy przez wspomnienia. Im żywsze są one i bogatsze, tym boleśniej szata strata. Prawo to jest bezwzględne i odnosi się również do tych, którzy żyją przede wszystkim we własnych dziełach. I w tej chwili trzymając w ręce

„Wiersze liryczne“ poety, za dedykowane mi na rok przed śmiercią, wracam do naszych spotkań i rozmów. Było ich niewiele w Krakowie i Warszawie, ale każda pozostała jakaś ślad w pamięci.

Oto Wawel — piękny, słoneczny dzień — stoimy z Gałczyńskim i jego żoną przed ołtarzem Wita Stwosza. Poeta patrzy zachłannie na każdy szczegół. W jego oczach zielonych złoty blask rzeźb. Czekają go trudne dzieła, poemat o twórcy ołtarza. Rozmawiamy o tym zamierzeniu. Gałczyński mówi, że chciałby temat potraktować szerzej, nie ograniczyć się do samej pracy rzeźbiarza, nawiązać do współczesności. Jest tak przekonany o ważności swego zadania, że w księdze pamiątkowej zapisuje: „Na zamówienie PIWU przystępuję do napisania poematu o Wicie Stwoszu...“. Rozmowa w tym dniu wybitnie się nie klei. Widać, że w zadumie wewnętrznej ciosa już pierwsze były poetyckie go pomnika. Innym razem w Warszawie z humorem wspomina przygody szczecińskie. Przywiązał się do tego miasta. Mówimy o tym i owym. Nawet o moich wierszach, jestem zaskoczony serdecznością uwag. Parę razy spotykamy się w kawiarni Związków Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Gałczyński cieszy się na przyjazd do Krakowa, z którym przecież tyle się łączy wspomnień i wierszy. „Tak, tak, lata mijają...“ urywa w pół zdania. Patrzę na jego zielone ubranie, na przyproszone siwizną włosy nad młodą twarzą i nawet nie przeczuwam, że już za parę miesięcy...

Twórczość Gałczyńskiego wywoływała zawsze namietne dyskusje. Tak było za życia poety, tak jest teraz. Najwięcej krwi napsuła „Zielona Geś“, a także satyry i groteski, które bardzo chętnie autor uprawiał obok liryki. Zresztą trudno w jego pisarstwie oddzielić lirykę od satyry, gdyż te rodzaje mieszała się nazbyt często. Może właśnie owa technika poety sprawiała, że zwolennicy celebrowania zarzucali mu nie poważny stosunek do poezji. „Niepoważny“, to znaczy bez patosu, koturnu — „niepoważny“ — to znaczy bezpośredni, ciepły, serdeczny, jednym słowem — humanistyczny. A przecież tym „niepoważnym“ piórem smagał skutecznie wrogów, krzepił przyjaciół i odkrywał piękno dzieł ludzkich zaklęte w sztuce. Zdobywał coraz więcej zwolenników poezji. Kochał muzykę. W niej widział doskonałość i harmonię. W niej szukał sił podczas długich, zmudnych dni pracy. A pracował codziennie od wczesnego ranka, pisał, poprawiał, czytał. Wbrew temu, co można by sądzić z lekkoci żartobliwej strofy miał

do swej pracy stosunek bardzo poważny i ważył każde słowo, zanim położył je na papier. Bogactwo swej palety i lutni zdobywał ciężkim, rzetelnym trudem, nie tylko ogromnym talentem.

Nie ma w Polsce popularniejszego dzisiaj poety. Książki jego są stale poszukiwane. Wydana ostatnio w Wydawnictwie Literackim „Liryka“ w nakładzie 15.000 egzemplarzy jest już prawie wyczerpana. I choć nie zawiera wielu cennych pozycji, na razie zaspokaja głód tej niezwyklej, oryginalnej poezji. Czekamy z niecierpliwością na pełny przegląd twórczości Gałczyńskiego w wydaniu zbiorowym. Na lirykę i satyrę. Niech nas wspomaga w walce o lepszy świat.

Z końcem listopada odbywały się w Krakowie finały Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów. Wśród wykonawców znalazł się młody Koreańczyk Kim Jen Czen, przebywający zaledwie rok w Polsce. Mówił „Warszawski wiatr“ Gałczyńskiego. Niezupełnie poddały się miękkiej wymowie recytatora obce, polskie słowa. W rytm pięknej wiersza wkraść się daleki wschodni pejzaż, śpiewnie zawodzący. Ale we wzruszeniu wykonawcy, w przejęciu się każdą strofą i deklamacji czuło było się polskiego poety, który oczarował blaskiem najszej mowy dalekiego przybysza z Korei. I niech ten fakt starczy za wiązanek kwiatów w rocznicę śmierci artysty.

Jerzy Hordyński

Dom stoi w ogrodzie i swoim wyglądem przypomina podmiejską willę, jakie w tych stronach stawali przed laty prywatni kapitaliści-nafciarze dla swoich dyrektorów i co wybitniejszych fachowców zagranicznych.

Tu w Gliniku Mariampolskim, jest takich domów więcej. Złote i niewysokie, z zielonymi okiennicami i muślinowymi firaneczkami w oknach kontrastują ze zgoła odmiennym obrazem niedalekiej rafinerii oraz innych zakładów przemysłowych. Zapach nafty miesza się tutaj z aromatem podkarpackich lasów, które zielonym półkolem otaczają z trzech stron tę fabryczną osadę.

Ale choć dom pionie teraz światłami wszystkich okien, obcemu przybyszowi dość trudno przychodzi odgadnąć jakie jest jego przeznaczenie. Dopiero dyskretny napis u wejścia na oszkloną werandę głosi wszem wobec, że tu mieści się Klub Fabryczny Związku Zawodowego Górników Naftowców w Gliniku Mariampolskim. Pozwólcie, że i ja wejdę do środka i opowiem wam pokrótce o ludziach i sprawach z jakimi się tam zapoznałem.

Tutaj właśnie, na granicy Gorlic i Glinika, w miejscu, gdzie jeszcze dwa lata temu pasły się kozy, a chłopcy w wieku szkolnym rozgrywali zacięte boje o prymat w „szmaciance“ wyrósł ostatnio wysoko w górę gmach, jakim mogłoby się poszczycić niejedno miasto wojewódzkie: Robotniczy Dom Kultury Górników Naftowców.

Stanął ofiarnym wysiłkiem miejscowego robotnika przy wybitnym poparciu finansowym Centralnej Rady Związków Zawodowych w Warszawie, aby na 10-lecie Polski Ludowej, w styczniu, otworzyć szeroko swoje podwoje i zapoczątkować nowy okres w życiu kulturalnym tej dalekiej podgórskiej osady i sąsiadującego z nią miasteczka.

Zanim wejdziemy do środka imponującego gmachu, składamy wizytę w zielonym domu z firaneczkami, gdyż tu spodziewamy się za stąd ludzi, którzy już za parę tygodni rozpoczną pracę w nowej, wspanialej siedzibie.

W jasnym, niewielkim po-

łączam od spraw kultury, którzy częściej chowają w zanadrzu mentorskie słowo i zgrzyliwą uwagę niż życzyliwą pomoc i fachową radę...

Trzeba sobie bowiem odrazu powiedzieć, że niewesoło układa się życie tych młodych ludzi w środowisku, które nie zawsze podchodzi do spraw kultury z należy-

ZMIENIAMY GEOGRAFIĘ KULTURALNĄ

koiku, do którego wchodzi się z obszernego holu, wykładanego boazerią, zastają dwoje młodych ludzi. On, szczupły szatyn o żywych, oczach, nazywa się Edward Zastępa i jest kierownikiem Klubu Fabrycznego. Ona, wysmukła dziewczyna z rozsypanymi na ramionach włosami — to Danuta Zabska, instruktor kulturalny Związku Zawodowego Górników. On pochodzi z sąsiedniej wioski i przez kilka lat pracował w miejscowej rafinerii. Ona, rodem ze Śląska, ukończyła liceum i dwuletni kurs instruktorów świetlicowych w Stalinozrodzie i dopiero przed kilku miesiącami została delegowana w tę stronę.

Już na pierwszy rzut oka robią oboje bardzo sympatyczne wrażenie i szybko nawiązują żywy kontakt z dziennikarzem, który — jak zwykle — chciałby jak najwięcej dowiedzieć się o sprawach ich codziennego życia. Na szczęście oboje są bardzo rozmowni, a zapadający za oknami mrok i wesoło huczący wszystkim palnika mi gaz do ogrzewania pokoju stwarzają domowy nastrój i usposabiają do osobliwych zwierzeń. Moi rozmówcy nie tają zresztą, że także wieczorne spotkanie bardziej im odpowiada niż suche wywiady i sprawozdania, składane za dnia „po linii“ zawodowej różnym dnia

tym zrozumieniem i bardzo często rzuca kłody pod nogi młodym zapaleńcom.

Jeszcze pół biedy, kiedy kierownictwo miejscowych zakładów pracy wyżej stawia sprawę awansu drużyny sportowej do ligi wojewódzkiej niż np. sprawę utworzenia małego zespołu rewiowego, który cieszyłby się tu wielkim powodzeniem, ale już całkiem niedobrze, kiedy niefachowy instruktor nadrzędnej organizacji związkowej zaczyna kwestionować pozycję frederowskiej w repertuarze przyfabrycznego zespołu teatralnego i kręcić nosem na wiadomość, że rolę ciotuni w znanej komedii Aleksandra Fredry pod tym samym tytułem gra żona inżyniera...

A był tu właśnie niedawno taki „delegat“ — po linii Zarządu Okręgowego Kopalnictwa Naftowego w Krośnie, który ku niemałemu zdziwieniu moich rozmówców, nie wahał się z taką krytyką wystąpić.

Nic też dziwnego, że po takiej wizycie kierownik Zastępa zaczyna wątpić w swoje kwalifikacje, a ambianta koleżanka Zabska poważnie nosi się z zamiarem wyemigracji na zawsze z tych stron.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że oboje mają wielkie ambicje i najlepsze chęci. Wystarczy uważnie rozglądając się wokół siebie,

Betlejemskie dziwa i dary, i kubraki, i szuby na plecach piękne wargi podbarwił Marii, a lajdaków sromotnie oszpecał;

kladł jabłuszka na złotych talerzach wyżej gwiazdki, by świeciły nocą: sam się dziwił, że tyli świat mieszka w ordynarnym lipowym kłocu.

A tych kwiatów ile nasiał wokoło, tych konwali mdlejących z tęsknoty! a jak oczy podniósł apostołom, by patrzyły jak na samoloty!

Potem złotem wszystko porozświecał (choć mu skradli niejedną uncję), w złoto zadał, aż strach obledział zamki, diabły i dęby burgudzkie:

i siepaczów nekanych kiłą także w drzewie skrzypcowym wykonał, z księżycowym okiem, że aż miło, jakbyś patrzył na kamratów Wilona —



odwiedzić świetlicę, czytelnię, bibliotekę, salę prób i zabaw, wystarczy porozmawiać z młodzieżą, która o wieczornej porze gromadzi się w przyciasnych pomieszczeniach Klubu, aby zrozumieć, że jego zarząd już teraz, na starych śmieciach, może poszczycić się poważnymi osiągnięciami i zaryzykować twierdzenie, że w nowej siedzibie potrafi rozwinąć skrzydła do jeszcze szerszych lotów.

Nie chodzi tu — rzecz prosta — wyłącznie o cyfry i statystykę, które czasem mogą zamazać istotny sens przemian z jakimi się spotykamy. Nic nam nie powie np. liczba pięciuset klientów przy fabrycznej wypożyczalni ni książek, jeżeli nie podpatrzymy melod pracy młodzieźkiej bibliotekarki Zofii Pagaczówny, która w umiejętności organizującej zainteresowania czytelników i rozprowadzania książki według ich wartości i indywidualnego zapotrzebowania. Nie imponuje nam również liczba amatorskich spektakli teatralnych, jeżeli nie zastanowimy się nad doбором repertuaru i oddziaływaniem poprzez scenę na wyobraźnię i rozwój wymagań artystycznych robotniczego widza, jeżeli nie bedziemy się orientować w jego potrzebach i zamiłowaniach.

Toteż jak najgorsze świadectwo wystawił sobie ów delegat z Krosna, który podawał w wątpliwość użyteczność komedii Aleksandra Fredry i dziwił się powodzeniu fantastycznej „Balladyny“. Nie dawał sobie widocznie sprawy, że tędy najkrótsza droga do „Poematu pedagogicznego“ Makarenki i „Sprawy rodzinnej“ Lutowskiego.

W ten zimowy wieczór do wiedziałem się od Haliny Baekowej („Ciotunia“ ze sztuki Fredry) o „trudnościach z jakimi muszą walczyć owi niedoceniani często wędrowni wyznawcy

(Ciąg dalszy na str. 2)

ZMIENIAMY GEOGRAFIĘ KULTURALNĄ

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Melpomeny na peryferiach naszego życia kulturalnego. O trudnościach związanych z transportem i organizacją widowisk, kiedy np. terenowa placówka PKS-u podstawia autobus z pięciogodzinnym opóźnieniem, a niecierpliwy widz w Dębnie lub Tarobręgu nie chce wycierkać dłuzę na zapowiedzianą imprezę. O płynności amatorskich kadr i braku funduszy na odpowiednią oprawę plastyczną przedstawień...

Rozmowa ta utwierdziła mnie w przekonaniu, że dobra wola i szczerzy entuzjazm potrafią czynić cuda, że udany spektakl w nieogrzanym baraku spełnia taką samą funkcję społeczną, jak galowe przedstawienie w stołecznej operze...

I dlatego postawa aktywu kulturalnego w Gliniku zasługuje na prawdziwe uznanie. Taką postawę wykazuje większość młodzieży i starszych, skupiających się wokół Klubu Fabrycznego. Zarówno młody, uzdolniony plastyk-amator Feliks Szufman, który, wiele wspaniałych

w ping-ponga. Wraz z kierownikiem Zastępą wychodzimy na spokojne o tej porze uliczki osady. Idziemy ogłocońca z liści aleją w stronę nowego Domu Kultury, nawiązując jeszcze raz do spraw, w których rozmawialiśmy przez wiele godzin wieczornych. Osada zdaje się być pogrążona we śnie. Tylko niedalekie fabryki i nowa kolonia na wzgórzu blaskiem swoich świateł rozpraszają mroki nocy. Nie spał również gmach, który o tej spóźnionej godzinie pragniemy zobaczyć z bliska. Zespół artystów plastyków w twórczym zapale zarywa kawał nocy, aby na czas wykończyć zleconą im pracę. Wchodzimy do środka. Wspaniałe holl, rzeźby, parkiet, boazerie. Imponująca scena i ogromne sale dla widowisk publicznych. Obok przytulne, wysokie komnaty dla różnych sekcji i zespołów. Na każdym kroku znać troskę o wygląd całości i dbałość o wykończenie szczególnie ornamentacyjnych. Kierownik Zastępa nie może ukryć wzruszenia. O to już za niewiele tygodni przejdzie ze swymi ludźmi w mury te-



TEATR recenzje TEATR

Irena Pitulanka

„MEWA“ (CZAJKA) CZECHOWA

(w związku z wystawieniem tej sztuki przez zespół teatralny PDK w Przemyślu)

Mewa“ a raczej „Czajka“ (tak winien brzmieć tytuł) jest jednym z najpiękniejszych dramatów Czechowa, jest utworem scenicznym o nieporównanym uroku i głębi myśli, jest równocześnie jednym z najbardziej osobistych dzieł Czechowa. Wielki pisarz zamknął w tym dziele swe najtajniejsze myśli, opowiadając nam o trudnej drodze artysty, o poglądach swych na istotę sztuki i talentu artystycznego o własnej koncepcji szczęścia o sensie życia.

Marzenia i myśli pisarza płyną nurtem wewnętrznym sztuki. Cechą bowiem charakterystyczną dramaturgii Czechowa jest dwutorowość akcji: akcja zewnętrzna i wewnętrzna. Ta druga jest nawet ważniejsza. „Gdy akcja zewnętrzna na scenie bawi, interesuje lub podnieca nerwy, wewnętrzna przenika do naszej duszy, porusza ją i opanowuje“ (Stanisławski). Cóż ukazuje nam Czechow na scenie?

W zakątku Rosji nad brzegiem jeziora mieszka piękna dziewczyna Nina Zarięcznaja. Nina marzy o scenie, o sławie, pierwszą dziewczęcą miłością kocha młodego sąsiada Konstantego Triepiewa, który dąży do jej serca. Konstanty to młody człowiek, który dąży do jej serca. Konstanty to młody człowiek, który dąży do jej serca.

scenerii. (Tło akcji stanowi jezioro i piękna noc księżycowa).

Główną rolę w tej sztuce gra Nina. Matka Triepiewa rozkapryszona, zepsuta sławą aktorka, apodyktyczna i bezwzględna wyśmiewa głośno „dekadencją“ sztukę syna w czasie jej przedstawienia. Triepiew rozgniewany i rozżalony przerywa przedstawienie. Porażką jaką poniósł jest bardzo silna. Zaczyna się cykl nieszczęść Konstantego, który i do tej pory nie był szczęśliwy. Życie nie szczęśliwie przykrości, skazany jest na utrzymywanie przez skąpą matkę, która zajęta sobą nie interesuje się nim zupełnie i nie rozumie go. Matka Triepiewa Arkadina przyjeżdżając na odpoczynek do majątku brata emerytowanego radcy Sorina przywoła swego przyjaciela, sławnego pisarza Trigorina. Nina ośmielona urokiem osobistym i blaskiem sławy pisarza pokochała Trigorina wielką gorącą miłością. Nina zrywa z rodziną i jedzie do Moskwy, wstępuje na deskę sceniczną, zostaje kochanką Trigorina, ma z nim dziecko, które umiera. Miłość Trigorina gaśnie jednak szybko, a on sam wraca do Arkadiny. Konstanty po rozstaniu z Niną usiłuje targnąć się na swe życie. Zamach samobójczy nie udaje się. Konstanty jest złamany, pisze jednak utwór, który zaczyna się spotykać z uznaniem. W życiu osobistym nie ma jednak szczęścia. Nie może przełamać

w sobie beznadziejnej miłości do Niny. Nina zostaje aktorką. Po dwu latach odwiedza swe rodzinne strony, spotyka się z Triepiewem, który początkowo sądzi, że zdoła ją zatrzymać przy sobie. Nina kocha jednak wciąż Trigorina. Samobójstwo Triepiewa kończy dramat.

W sztuce wszyscy prawie bohaterowie przeżywają tak czy inaczej miłość, najczęściej nieodwzajemnioną. Zdawać by się mogło, że miłość jest zasadniczym tematem utworu. Kartka z literackiego notatnika Trigorina mogłaby tak rozumowanie sugerować. Konstanty zabił pewnego dnia mewę i złożył ją u stóp kochanej Niny. Trigorin notuje pomysł literacki, z którym dzieli się z Niną: „Na brzegu jeziora mieszka od dzieciństwa młoda dziewczyna, taka jak pani, kocha jezioro jak mewa i jak

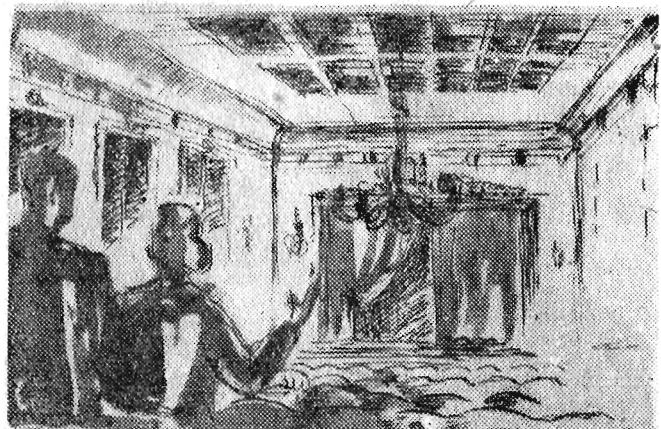
lent ów płodzą jedynie rzeczy ładne, miłe, ale nic więcej. Wracając jeszcze do sprawy miłości w sztuce — Czechow potępia miłość, która staje się jedyną treścią życia człowieka. W sztuce piękna jest jedynie miłość Niny, przezwyjęczona przez nią. Wszyscy itni bohaterowie zajęci jedynie swą oparą na egoizmie miłością stają się najczęściej brzydki i żli. (Np. Masza i jej matka).

Sens życia — i o tym mówi Czechow w sztuce. Sens życia to praca, twórcza praca, służba jakiejś wielkiej idei.

„Mewa“ Czechowa ukazał nam zespół teatralny PDK w Przemyślu w reżyserii R. Michniewskiego. Czy dobrze się stało, że wystawiono tę sztukę, to temat do dyskusji. Sztuka jest zbyt trudna do realizacji dla wielu zespołów nie tylko amatorskich i to przemawiało raczej za tym, że nie zawsze należy „mierzyć się na zamiary“. Z drugiej jednak strony pewną wartość ma zaznajomienie publiczności z pięknym dramatem Czechowa. Uznać nadto można wystawienie „Mewy“ za hołd, złożony wielkiemu pisarzowi w 50-tą rocznicę jego zgonu. Stwierdzić należy, że dołożono wielu starań do wydobycia zasadniczej treści utworu, w wielu momentach skutecznie. Wielu aktorom udało się dotrzeć do głębokiego ujętego nurtu sztuki. Mam na myśli głównie bardzo udaną kreację Niny (M. Filagrowicz). Aktorka ta pięknie oddała słowem, milczeniem i gestem czar poezji Czechowa. Jasno i zrozumiale tłumaczyła myśli autora. Świetnie ukazała przemianę swiętętrzną Niny, która z egzaltowanej młodej dziewczyny przeradza się w dojrzałą, mądrą i silną kobietę. Za dobrą kreację uznać należy postać Konstantego Triepiewa (E. Sroczyński). Ta trudna kreacja została dobrze prze-myślana i zrozumiana przez aktora. Triepiew Sroczyński, któremu odtwórca tej roli nadał wiele gorącej uczuciowości budzi współczucie widza i wzrusza go. Pisarz Trigorin (T. Gruszczynski) zmusza widza do snucia refleksji nad dobrze oddanymi myślami Czechowa o sztuce i talencie. Należy zwrócić uwagę na bardzo udany debiut aktorski L. Szoltyś (Masza), na pełną umiaru i zrozumienia swej roli grę.

Za wadę przedstawienia uznać należy niezbyt właściwie obsadzenie kilku ról, co odbija się oczywiście niekorzystnie na całości inscenizacji. Dekoracje M. Litwiniuka, szczególnie ograbd stwarzają odpowiednią nastrój dla sztuki, podobnie jak i muzyka towarzysząca pewnym momentom akcji.

Irena Pitulanka.



godzin wieczornych poświęca na przygotowanie dla oka dekoracje sal klubowych, jak zamężna aktywistka do spraw organizacyjnych — Irena Michaluk, która nie liczy się z ustalonymi w umowie godzinami pracy. Zarówno zapobiegliwy instruktor muzyczny Franciszek Przepióra jak zapalony zbieracz zanikających rzeszowskich pieśni ludowych, laborant miejscowej rafinerii — Szczepanik...

To ostatnie zamilowanie kierownik Zastępa szczególnie sobie ceni, bo liczy na to, że w nowym gmachu kolega Szczepanik pomoże mu zorganizować jak najprędzej regionalny zespół pieśni i tańca. Bo coż z tego, że mają w tej chwili dość dobry zespół orkiestry smyczkowej, która nawet na eliminacjach wojewódzkich w Rzeszowie zajęła pierwsze miejsce, kiedy — jak na razie — najlepiej w tym środowisku chwytają lekkie piosenki i znajome melodie.

A tymczasem Danuta Ząbka organizuje dwa nowe zespoły teatralne: młodzieżowy i dziecięcy. Z pierwszym przerabia „Pocmat pe dagogiczny“ Makarenki, z drugim „Siedmiomilowe buty“ Jana Brzechwy. Zapytanie dlaczego właśnie te, a nie inne pozycje? Odpowiem wam z miłym uśmiechem, że w pierwszym wypadku chodzi jej o godny naśladowania przykład dla glinickich waga-bundów, w drugim o wciągnięcie jak największej ilości dzieci w wieku szkolnym do udziału w widowisku, które tak harmonijnie łączy taniec i piosenkę z recytacją dobrego wiersza.

Muszę wam również zdradzić tajemnice, że Danuta Ząbka należała w Sialnogradzie do Koła Młodych przy Oddziale Związku Literatów Polskich i pisywała wcale niezłe wiersze liryczne.

Jest późny, zimowy wieczór. Sale Klubu powoli pustoszają. Tylko najwięksi za palenicy mlotają się jeszcze nad zielonym stołem do gry

go gmachu. Zdał sobie sprawę z odległości, jaka z tą chwilą spadła na nich. Czy potrafią wywiązać się z nowych zadań?

Wszystko wskazuje na to, że — tak. — Rzecz prosta — o ile wszyscy, którzy w tych sprawach mają coś do powiedzenia — podadzą im pomocną dłoń. O ile częściej i bardziej wnikliwie niż dotąd będą rozoznawać tutejszy niełatwy teren i w rozumny sposób organizować w tych stronach życie kulturalne. Chodzi o wypracowanie wielką sprawę. O sprawę człowieka, jego kultury i obyczajów. Chodzi o usunięcie ostatnich rogatki kulturalnych, ostatnich barier na drodze socjalistycznego wychowania wszystkich obywateli naszego kraju.

Władysław Blachut

OKRZYCHY LITERACKO HISTORYCZNE

Przyjacielu. Wierząc, czuję się w duszy jakąś wielkość i pociechę, mieszkać w tych samych murach, w pośród których niegdyś miał nieśmiertelny urodził się i swe dzieciństwo spędził lata. Zdać się nam, że cienie jego widzimy, że do nas przemawia, że napomina: „oświecać się“.

Aby zrozumieć ton tego listu drukowanego w 1821 roku w „Pamiętniku galicyjskim“, trzeba uprzytomnić sobie, że w ciągu XVIII i XIX wieku Dubiecko stało się poważnym ośrodkiem literackim promieniującym intensywnie na dużą część Małopolski. Podobnie jak Puławy, pełniło ono rolę lokalnego Parnasu, do którego pieł się wszyscy mający ambicje pisarskie. Na „dworze dobieckim“ przebywali kolejno: Karpiński, Drużbacka podobno Konarski. Pod starożytną

lipą, w miejscu, gdzie rodzili się pomysły sat i szukali: na tchnienia mniejsi i więksi ry mopsisowie.



W atmosferze domu Krasickich rozwijał się talent Wincentego Pola. Zarówno poemat „Pieśń o ziemi naszej“, jak i „Mohort“ miały genezę w bliskim obcowaniu z najbliższą rodziną księdza biskupa warmińskiego. Na egzemplarzu „Mohorta“ dedykowanemu gospodarzom dworu dubieckiego autor napisał:

Co od Was wyszło, niech do domu wraca
Jak owoc wdzięczny, poczciwa praca.

I jeszcze jedna ciekawostka. W pobliżu Dubiecka znajduje się wioska Ruska Wieś. Tu na wyniosłym pagórku stał zamek królowej Bony, zwanej przez lud Boniową. W apartamentach ambitna monarchini przechowywała słynne sumy neapolitańskie, które przez długi czas mocno intrygowały naszych historyków.

JAK TO NA JARMARKACH BYWAŁO

Owies dla dwóch fornałków po bakalie do Rzeszowa. Taką pozycję można wy czytać w starych rejestrach wiejskich. Te „bakalie“ zaku pywane w dużych ilościach — to cukier, kawa, pieprz, imbir i cynamon.

Niemalże musiało być gospodarstwo, które samych tylko przypraw kuchennych zużywało dwa wozy. Ale też trzeba pamiętać, że zgromadzone w spizarniach zapasy wystarczały czasem na rok. Zakupów dla wygody dokonywano hurtem.

W części Galicji, która dziś

tworzy województwo rzeszowskie w wielu miastach odbywały się ludnie jarmarki. Na wsi żyło się wówczas od jednej takiej imprezy do drugiej, daty zaś zaznaczano czerwoną kredką w kalendarzu. Sam Rzeszów słynął z jarmarków końskich. W oznaczonym dniu ze wszystkich stron pędzono konie fornalnskie powiązane na całą szerokość gościńca. Jarmark ten utrzymywał się jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Poza tym targi na konie odbywały się w Krośnie i w Zmigrodzie.

Robocze woły i krowy można było nabyć w Bieczu, Dukli, Fryszaku, Jasle i Krośnie. Największą popularno-



Hanka zmarszczyła brwi. Na owej twarzyczce rysował się złą ostrością grymas złości. Szare, duże oczy zaszkliły się łzami.

— Powtarzam raz jeszcze. Za to co zrobiliście — na najbliższym zebraniu stawię wnioski o wykluczenie Was z organizacji.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Siedzący naprzeciw niej Janek Malewski drgnął. Jakby niedowierzając jej słowom, uniósł lekko głowę, a widać w oczach dziewczyny potwierdzenie — pochylili się jeszcze bardziej. Czynił wrażenie chorego. Hanka palcami drżącymi ze zdenerwowania papierki. Pragnęła teraz, aby ten chłopak jak najprędzej wyszedł. Zostawił ją samą. Czuła się upokorzona, mimo odniesionego chwilowo zwycięstwa. Po co mu o tym wszystkim mówiła? Teraz pragnąc skrócić milczenie dodała szybko, jakby do siebie, jakby do niego.

— Nie — nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego. Nagle zdrzął jej podbródek, przeszła z cichego, jakby obojętnego tonu w krzyk.

— Chuligan z Was. Deprawujecie młodzież. Jak Wam nie wstyd zgłaszać pretensje!

— Janek gwałtownie powstał — Energicznym ruchem ręki odgarnął spadające mu na oczy pukle ciemnych włosów. Odpowiedział desperacko.

— Coście się tak do mnie przyczepili! Przysłuchania, rozmowy, jakbym kogoś zamordował. A, a chuliganem nie byłem i nie będę. Moja już w tym głowa.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, zawałał się chwilę, tylko bezdźwięcznie ruszając ustami. Wreszcie wykrztusił.

— A ty, ty... uwzięłaś się na mnie. Dlaczego? Czy sądzisz, że mi tak bardzo zależy na koleżeństwie Zbyszka? Chcesz, mogę przestać z nim kolegować. Znajdę innego. A sam nie będę chodził. Nie mam tu nikogo w tym mieście. Powinnaś zdawać sobie sprawę z mojej sytuacji. Dalej mówię już spokojnym, przyciszonym głosem.

— Wiesz jak ciężko samemu. Przy pracy to jeszcze, a potem...
Eh, co ty tam wiesz. Znalazłaś kózła ofiarnego we mnie i tyle. Machnęła ręką jakby odganiając od siebie jakąś natrętną myśl i ciężko usiadła. Hanka pobrała. Czując na sobie jego spojrzenie zatrzepotała powiekami. Patrzący w nią uparcie przyznające nie co, pełne żalu, niespokojne oczy Janka.

Rozwarły się drzwi. Weszła wysoka, tegawa gładko uczesana dziewczyna o krótkim zadartym nosku i nieco skosnie osadzonych oczach.

ścią cieszyli się jednak jarmarku sukiennicze, które istniały w Gorlicach, Dębicy, Fryszlaku, Pilźnie, Krośnie i Jaśle.

Dzisiaj tradycja jarmarków zamiera. Rolę jej przejęły w pewnym stopniu wystawy rolnicze i przemysłowe. Wpłynął na to niewątpliwie fakt, że handel spożywczymi decyduje coraz bliżej konsumentów wiejskiego, poprzez sklepy gminne, ruchome punkty sprzedaży i domy towarowe.

PYSZALEKOWATY MAGNAT

Wojewoda pomorski Łoś był w XVIII wieku dziedzicem Narola, wsi położonej w powiecie lubaczowskim. Magnata owego cechowała zarozumiałość i wyniosłość odnośnie do poddanych. Kiedy pewnego razu jechał karetą w okresie wiosennych roztopów okazało się, że rzeka Tanew wylała i niesposób ominąć przeszkodę. — Będzie na chłopca — wyjaśnia stanęgret zatrzymawszy powóz. Rozgniewany Łoś nie bacząc na nic wola: — Jedź stępduś się (glupcze), kiedy na chłopca. To senatorowi po kolana. Karetą jakoś przebrnęła, ale jej właściciel musiał się

IGNACY WIRSKI
DECYZJA

Był to zły dzień. Hanka spojrzała na nią pytająco. — No? — Tamta wzruszyła ramionami.

— A, nic nowego. Nie mam tam co robić. Nie przyszli. Po czym z zainteresowaniem zaczęła się wpatrywać w Janka. Nie widziała go jeszcze takim zgaszonym. Zawsze za dzierzysty, wyprostowany, wesoły. Jak to się mówi chłopak do tańca i do różnaka. A teraz...

— Cóż to tak siedzisz jak z krzyża zdjęty — zaczęła ale w pół zdania przerwał jej ostry głos Hanksi.

— Nie twoja rzecz, siedzi, bo siedzi i tyle, a ty zajmij się lepiej żeby świetlica była opalona przynajmniej w czasie prób.

Janek ożywił się. — Nie wiedziałem, że tutaj macie czynną świetlicę. Zawsze drzwi były zamknięte. Kiedyś — dodał jakby na usprawiedliwienie tego co powiedział — chciałem zajrzeć ot tak z ciekawości, była zamknięta.

Zamknięta, zamknięta — przedrzeźniała świetliczanka, po czym trzaskając drzwiami szybko wyszła.

Hanka na moment odczuła iskierkę wzruszenia. Chociaż Janek powiedział parę słów o świetlicy, tak mimochodem jak to się mówi — poparł ją. Przecież z tą świetlicą zaktądowa to prawdziwie urwanie głowy.

Przypomniała sobie przyjazd Janka z M. Wesoły, ukłony, towarzyski. W pracy zawodowej niejednemu z młodzieńców mógłby służyć przykładem. Zjednął też wkrótce sobie sympatię żaloty. Zbyszka pracował z nim w jednym oddziale. Są w równym wieku. Ale odjął zaprzyjaźnili się, Zbyszek zamieszkał do domu, a Janek do hotelu robotniczego — szli do miasta — jak mówili rozewarć się po robocie. Rezultat tych „wybiegów“ był taki, że już po paru tygodniach Zbyszek częściej wracał podchmielony. Później zawsze po wypłacie przez kilka dni nie przychodził do domu. Wracal, gdy nie miał już zlanego groza w kieszeni. Hanka ścisła pięściami skronie. Jest przekonana, że gdy tylko wolno uścisk, młoty, które kołatają w głowie, wybiją krwawiące otwory. A tak się czuła swoimi planami. Przecież był czas, że wstydziła się na oczu pokazać ludziom z łowdu ojca. Była wówczas młodo

nie przestraszyć, gdyż na pamiętnym tym miejscu postawił tablicę dziękczynną. Ow Łoś odznaczył się jeszcze

nie pracowała jeszcze. Zbyszek utrzymywał rodzinę. Ojciec przejął pieniądze, wracał pijany, urządził w domu awantury. Pod oknami stała zbiegowiska lokatorów. Aż matka rozeszła się z ojcem. W domu już było spokój. Pamięta swój pierwszy radosny dzień. Pierwszą wypłatę. Ile marzeń, ile planów? A teraz co z tego? W domu jest oprócz nich — troje młodszego rodzeństwa. Chyba już Grzes, który zaczął chodzić do szkoły nie dostanie na zimę ciepłego paltoćka. A najmłodszą Zosią będzie musiała przepędzić zimą w dziurawych bucikach.



I ona nie kupiła sobie nowej sukienki na Sylwestra. Pod wpływem tych myśli urasłał w niej na nowo gniew. I komu to ma do zawdzięczenia, kto zawińł, że tyle trosk spadło na nią, kto odebrał Grzesiowi prawo do ciepłego paltoćka? Siedzi przed nią winowajca. Dobrze takiemu gadać. Ojciec pracuje jako majster, matka jest nauczycielką, sam robi — jak się chwali — na „kieszonkowe“. Czy on, Janek zdaje sobie sprawę z tego co uczynił? Uniosła lekko ciałko wspierając się lokciami o blat stołika. Przez moment z zainteresowaniem wpatrywała się w cień Janka wyrażające rysujący się na przeciwległej ścianie. Jakis obłazymi, nieforemny, jak z jakiej kamiennej bryły wykuty. Chwiał się lekko to znów kurczył, malal, aby po chwili sięgał prawie do sufitu.

— Nie — nie wierzę Wam. Kategoriecznie będę się domagać usunięcia Was z ZMP. Nie mogę dopuścić do tego, byście rozpijali nam młodzież! Pod wpływem swoich słów stwierdziła z zadowoleniem jakieś wewnętrzne uspokojenie. Teraz zdawało jej się, że walczy nie tylko o ukaranie winowajcy, ale broni całej organizacji, całej młodzieży ZMP-owskiej.

Coś tam co z tego. Że Janek... czy się przyjaźnił ze Zbyszkiem? Nauczył pijactwa kogo innego. Wstydziła się teraz tych chwil, kiedy taką przyjemnością napawały ją pogawędki z Jankiem. Cóż, umie czarować. Układny, grzeczny, w pracy bez zarzutu, a po jajerancie, to szkoda mówić. Spozrzała, że Janek wolno podchodzi do drzwi. Przyśtaje. Po co? — myślała. Niechby lepiej już poszedł, bo jeszcze gotowa przepędzić go.

A Janek myślał o sobie. Co powie ojciec, matka jeśli go wyrzucą z organizacji? Na

próżno zadawał sobie pytanie: czy zawinił wobec Zbyszka i Hanksi, czy wobec całej organizacji? Ile w tym jego winy. Przecież nie miał co robić. W hotelu tak ponuro, zimno. A Zbyszkiowi tylko parę razy zafundował wódkę. Stać go przecież na taki wydatek. Nie ma żadnych obowiązków. Ostatecznie po to pracuje, by robić ze swoimi piehiedźmi co tylko zechce. A że Zbyszek chciał się rewanżować to jego sprawa. Nie wyludził od Zbyszka pieniędzy. Nie namiętał. Eh, szkoda mówić. Żeby wiedział jak jest u Zbyszka w domu, kto wie czy w ogóle by chodził z nim na wódkę. Odwrócił się i spróbował jeszcze jednego argumentu.

— Ja jestem bez winy. Przecież Zbyszek mógł nie pić. Ostatecznie to jego sprawa. Ja jestem w porządku. Skończę, powtarzam z przyjaźnią. Zabawić się lubię — przypomniał sobie sprawę świetlicy — a że nie ma gdzie koleżeńsko przewodzić — szukam rozrywki w knajpie. Praca na tym nie cierpi — dokończył z goryczą w głosie.

Odczuta słowa Janka jak policzek. Mimo woli obejrzała się. Daleko za oknem dotykały się dwa niskie, dzwigie budyneczki. Mimo faje-

rantu mnożyła wokół nich martwota. Po dłuższej chwili dopiero którejś arzwi się otworzyła. Wyszedł z nich uśmiechnięty chłopiec. Poprawiając starannie cyklistówkę na głowie, lustrował buciki unosząc nogi do góry jak bocian. Szedł prosto do miasta. Gdzieś na zakręcie drogi dołączyła do niego dziewczyna. Czekała widocznie, umówiona.

Tak, Janek ma rację. Te budyneczki stojące poza obreębem zakładu stanowiły oddzielną całość. Tu w zakładzie obserwowano młodzież, wykazywano o nią troskę, rozmawiano z nią. Ale tam daleko za oknem w tych barakach było już życie prywatne. Jednak nie chciała, nie mogła pogodzić się z tym, aby taki urwis, który sprowadził jej brata na manowce, przewodniczącej zarząd przypomniał o obowiązkach. „Nie ma gdzie się bawić“ — podreżniła w myślach uderzając pięścią w stolik. Już chciała powiedzieć parę dosadnych słów, poskromić tego zuchwałego chłopaka, który z oskarżeniem usiłował stać się oskarżycielem, ale zawałała się.

Wiele zmiosła, zmiesie i to. Żyć było dla niej macocho. Nauczyła się być cierpliwa. Tylko przez jej pobladłą twarz przemknął cień rumienica a czolo sperlił pot. Dyszała ciężko. W oczach mi gąły czarne kółka. Wyczerpała ją ta rozmowa. W głowie kołatała myśl jak czerwona płachta. Sygnalizowała. Rodziła wątpliwość. Przecież on skrzywdził tylko jej brata, rodzinę, jej rodzinę. A ona, za-

rząd? Czy nie zwicznęła swoją becznością, beztroską o życie hotelowe moralności innych, takich młodych chłopaków jak Zbyszek, Janek? Czym się kierowała wobec Janka, rozsądkiem czy dozną krzywdą osobistą. Przecież Zbyszek jeszcze nie stracony. Z czasem może zrozumie, że źle robi. Być może, zresztą na pewno: Janek musiał mu zaimponować samodzielnością. Zbyszkiowi też zachciało się mieć swoje rozrywki, swoje pieniądze, wódkę. Janek nie jest bez winy. Ale gdyby został usunięty z ZMP?

Hanka dochodziła powoli do wniosku, że tego rodzaju spraw nie można załatwiać na prędce. Są zbyt skomplikowane, mają swoje źródła, przyczyny, a wszystko trzeba rozważać dokładnie, szczegółowo, oddzielnie — widząc wyraźnie całość. Coraz głębiej pojmywała, że tu chodzi o wielką rzecz, o młodego człowieka, nieopóźnionego zalet ale i posiadającego wiele wad. A walka o człowieka to walka o zwycięstwo tego co w nim najlepsze. Przyjaźnią popatrzała na Jankę. Nie czuła już do niego tyle żalu. Stał przed nią jakiś skruszony chociaż przez moment zdawało jej się, że widzi wokół jego ust lekceważący uśmiech. Nie. To przywidzenie.

Wstała. I jak się jej wydawało zbyt patetycznie brzmiały słowa.

— Zarząd musi rozpatrzyć te wszystkie sprawy — łącznie z Twoją, Janku.

Tak będzie najlepiej, — pomyślała. Opowie wszystko i wspólnie zdecydują. Kto wie czy Janek nie będzie jeszcze dobrym zetempowcem nie tylko w fabryce ale i w życiu prywatnym. Kto wie czy wspólnie nie uratują Zbyszka. Wiedziela już teraz że kiedy na zarządzie będzie omawiała sprawę Janka decydować będą o losach młodego człowieka.

IGNACY WIRSKI

WIECEJ POETOW
dobrych i roźnych



Ob. K. K.
Otrzymałmymy od Was 11 wierszy do oceny i ewentualnego wykorzystania. Większość tych wierszy jest związana swoją tematyką z życiem i pracą górników naftowców, czyli dotyczy kręgu Waszych najbliższych zainteresowań. Informujecie nas bowiem, że jesteście pracownikami zespołu kopalnictwa naftowego.

Ponieważ dotąd tematy z życia „nafiarzy“ i ich pracy nie miały szczęścia w literaturze, a zwłaszcza w poezji, Wasze wiersze wzbudziły w nas zainteresowanie. Liczyliśmy na to, że ukażą się w swych utworach specyfikę pracy w „naftie“, świat przeżyć i wrażeń ludzi, których można porównać do poszukiwaczy złota, ich szlachetny hazard i walkę z przyrodą o wydarcie jej skarbow — oczekiwaliśmy barwnych obrazów pejzażu podkarpackiego z charakterystycznymi „kiwonami“ i wieżami wiertniczymi.

Wasze wiersze zawiodły te oczekiwania. Brak w nich oryginalności i świeżości, brak poetyckiego wizerunku świata. W gładkich rymach, najczęściej gramatycznych, w gładkim toku rytmicznym, wierszy, miejscami poetyckich sformułowań zajmują przelazny, banały sloganowe. Niektóre z wierszy tylko rymem i rytmem różnią się od wrozy, nie są utworami poetyckimi lecz rymowanymi rozprawkami o ewenych zagadnieniach. Taki charakter ma na przykład wiersz „Postęp techniczny“, którego fragment cytuję:
Jak w Krainie Rad na wschodzie

tak i u nas też zdobył się postęp techniczny w przyrodzie

uznanie właściwe wszędzie. W wierszu „Nafciarze“ piszecie:
To nafciarze — dzielni ludzie
bohaterzy dnia i nocy,
czy w uśmiechu, czy też w trudzie
pracują o wielkiej mocy.

Nie wystarczy powiedzieleć w wierszu, że postępek techniczny zdobył sobie uznanie, trzeba uzasadnić dlaczego tak się stanie. Za mało jest nazwać nafciarzy dzielniymi ludźmi, bohaterami dnia i nocy — trzeba to bohaterstwo pokazać w taki sposób, by nazwa ta narzucała się sama. Wasze wiersze nie przekonują czytelników, że „nafta jest królową mocy“, a nafciarze dzielniymi ludźmi, gdyż określenia te nie są podbudowane emocjonalnymi przesłankami ani poetyckim obrazem. A przecież poezja powinna dawać wiedzę o świecie inną drogą niż artykuł w gazecie — poprzez wzruszenia, przeżycia i pracę wyobraźni.

Ubóstwo emocjonalne i artystyczne Waszych wierszy wpływa stąd, że nie korzystacie prawie zupełnie ze środków ekspresji poetyckiej, z porównań, przenosi, metafor i eplietów, a jeśli nawet czasem w wierszu znajdzie się jakaś porównania, to jest ona wytarta i zużyta, przejęta ze złych wzorów.

Czy wobec tego warto dać jej pisać? — zaprzęć. War to jeśli wiersze Wasze będą powstawać jako owoc wzużeń i głębokich przeżyć osobistych.

Jeśli zaś Wasze poematy traktujecie jako rozrywkę i zabawę, to wręcz sam perzucie pisanie wierszy, gdyż Wam się to rzuca — i postacie słusznie.

„Jotgiel“

PROCES O PODBURZENIA

W 1861 roku cała Galicja na równi z Kongresówką przeżywała okres wzrastającego napięcia przed powsta niem styczniowym.

Wielu emisariuszy głosiło wśród ludu demokratyczne idee przyszłego rządu na rodowego. Nic dziwnego, że „Przeład Powszechny“ w artykule redakcyjnym narzeka:
„Wieśniak nasz jest dziś znowu podżegany. W ustrzyckim i sanockim powiecie, we wsi Pobidno, w obwodowym mieście Sanoku nikt już w rogatej czaple (symbolu szlacheckim — przyp. mój), bezkarnie na ulicy ani wśród rynku pokazał się nie może“.

Dla osmierzenia niepokoju, jaki ogarnął szlachtę odbyło się kilka procesów ludzi oskarżonych o podburzanie chłopstwa i szerzenie nieuzasadnionej paniki. Jednym z oskarżonych był woźny Jan Matlan z Przemyśla obwiniony o to, że w kilku miejscach zapowiadał powstanie w roku 1846 (tzn. buntu Szeli).

W lipcu 1861 roku w wyniku szeroko rozgłoszonego procesu Matlana skazano na 2 lata więzienia.
Jachszaroni

Zęgnaliśmy wojewodę pomorskiego

Witamy dzisiaj kucharza dworskiego

WIEŚ Z TRADYCJA

Okolo 10 km na południowy zachód od Przemyśla leży wieś Kormanice, niegdyś dziedziczna posiadłość Fredrów. W XVII wieku z jej obszaru wyłaczono część tworząc miasteczko Fredropol.

Z Kormanic pochodził Andrzej Maksymilian Fredro, historyk i autor dzieła „Przysłowia mów potocznych“. Pradziad wielkiego komediopisarza przebywał tu w czasie pracy nad swą pierwszą monografią historyczną z dziejów panowania Henryka Walezego.

Co do nazwy wsi to etymologicznie nie są zgodni w swych poglądach. Jedni twierdzą, że Kormanice pochodzą od łacińskiego słowa „cor“ — serce (,), gdyż w parku tamtejszym znajdowały się chodniki w kształcie serca. Inni wywodzą od zajęcia ludności. Korman — to według nich — gruba sukmana, której wyrobem zajmowała się większość mieszkańców.



czym, że po pierwszym rozbiore szybko przyjął polski tytuł wielkiego kuchmistrza. Kiedy po pewnym czasie zjawiał się w Galicji, biskup przemyski ułożył na wjazd gości szydlerczy dwuwiersz:

HISTORIA NIE TYLKO DYCHAWICZNEJ SZKAPY

Było tak:
Kiedyś tam, ponoć przeszło rok temu specjalna uchwała PPRN Brzozów przekazała dla OZR Fabryki Porcelany w Boguchwale resztówkę o powierzchni 40 ha w Jasicyni Rosielnej.

Z „przekazu” tego wyłazło no 3 konie i 2 wozy, z czego konia i wóz sprzedano spółdzielni produkcyjnej, reszta zaś miała zabrać PRN w Brzozowie. Naturalnie była i specyficzna klauzula: jeżeli PRN tego nie zabierze, o dwie szkapy i wóz miały przejść na własność OZR-u. PRN nie wzięła. I oto zaczyna się historia:

Pismem z dnia 2. XII. 53 (znak: OZR L. dz. 9992/53) OZR zwrócił się do Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa PRN w Brzozowie o przekazanie tego „bagażu”. Odpowiedzi się nie doczekał. Ponowił więc swe molestowania z 23. XII. 53 (znak OZR L. dz. 10610/53), z 15. I. 54 (znak OZR/L. dz. 474/54), z 7. IV. 54 (znak OZR/L. dz. 3701/54), z 19. V. 54 (znak OZR/L. dz. 4902/54) — (to nie kpiny — takie pismo nadesłał do redakcji OZR) — tak samo bez rezultatu. W międzyczasie wielokrotnie uzgadniano sprawę z kierownikiem Powiatowego Zarządu Rolnictwa, przewodniczącym Prez. PRN i I sekretarzem KP PZPR w Brzozowie oraz z ob. Turowskim z Wojewódzkiego Zarządu Urzędów Rolnych w Rzeszowie. Tak jedni jak i drudzy „chcieli

zgody jak ryba wody” — ,ale prosimy bardzo, możecie sobie wziąć, jeśli tylko macie ochotę, my nie mamy nic przeciw temu, owszem, będziemy radzi jeśli to przejdzie do was”. Ale podpisać formalny akt — na to nie było chętnego tak w Brzozowie jak i w Rzeszowie. Za to OZR otrzymywał solidne zapewnienia, że za 2-3 dni będzie wszystko załatwione jak najformalniej i jak najpozytywniej. Obiecańki cacanki itd.

Biedne szkapy (nota bene jedna dychawiczna) nie mogły znaleźć właściciela. Nie chce ich PPRN w Brzozowie, nie chce ich PPRN w Ustrzykach Dolnych, gdzie próbowano je „wepchać”, nie chce WZUR, ani nikt inny, a OZR-owi, który chce — nie chcą dać. Nie ma „przekazu” ale za to są telefony, telefony, telefony, pisma, pisma, pisma, rozmowy, rozmowy, rozmowy... I jak nie tak nie. A OZR musi konie żywić, do roboty ich nie używa — no bo nie są jego, czeka żeby ktoś mu je dał, albo wzięło — ale znowu „czekaj talka latka” itd.

Z końcem sierpnia br. OZR zwrócił się jeszcze raz do WZUR. By koniec końców załatwiono tę sprawę. Otrzymał w zamian zapewnienie, że za 3 dni wszystko będzie w porządku. Będzie... a na razie OZR czeka na załatwienie, a szkapy na właściciela.

Mało tego. Nie tylko, że OZR-owi nie dano owych koni i wozu ale jeszcze PPRN w Brzozowie, jak sobie kiedyś w sierpniu wypoczyło od niego drugi wóz — tak dotąd go nie oddało, wychodząc z założenia, że pracownicy OZR mogą zboże czy coś innego nosić na plecach zamiast wozu na wozie. Po ostatniej interwencji w PZR w Brzozowie — OZR domyślił się, że „zamiast wozu otrzyma grat i to jeszcze nie wiadomo kiedy”.

I na tym jeszcze nie koniec. W końcu października ub. roku Pow. Zarz. Rolnictwa w Brzozowie wypożyczył sobie z OZR 300 kg pszenicy selekcyjnej i 4 worki. Zamiast ziarna OZR otrzymał teraz parę ładnych słówek i nic ponadto. Jednakże w tym wypadku już PZR nie ponosi winy. Zboże oddał. A że nie wiadomo komu, gdzie i kiedy — to nie ważne. Ze OZR nic nie otrzymał też nie jest ważne.

Tak się rzecz ma. OZR puka i odprawiają go z kwitkiem. Ciekawe — jak jeszcze długo? I komu się przedziej znudzi — czy OZR zrezygnuje ze swoich pretensji czy też Woj. Zarz. Urzędów Rolnych i Prezydium PRN w Brzozowie odzyska ją nareszcie słuch, a stracą swój upór i zmieniają swój stosunek do niezadowolonych spraw. Może stracą?...
frap.

...w takim razie trzeba sprawić okulary

Czy wiecie co trzeba zrobić, gdy człowiek zaczyna nie dowidzieć?
Głupie pytanie — każdy powie — trzeba założyć okulary.

Nie inaczej sądził Jan Bieda — pracownik Spółdzielni Inwalidów „Wolność” w Brzozowie. Gdy mu wzrok zaczął dokuczać, poszedł do lekarza specjalisty, ten zalecił mu nośnienie okularów i nawet wypisał na nie receptę. Bieda z receptą udał się do Wydziału Zdrowia. Tam grzecznie zapewniono go, że w najbliższych dniach okulary będą, z tym tylko, że wyda je Wy-

dział Zdrowia w Rzeszowie. I w początkach września ową receptę Biedy wysłano do Rzeszowa celem jej zrealizowania.

Mijały miesiące — wrzesień, październik, listopad. Przyszedł grudzień. Spuszczono przez ten czas na wodę parę statków, uruchomiono nowe obiekty przemysłowe, niejedna załoga fabryczna zjadła wykonać roczny plan, a Bieda jak nie miał okularów tak i nie dostał. Bo co to niby kogo obchodzi, że ktoś tam, z jakiegos tam Brzozowa ma się w pracy z braku okularów.

A może urzędnicy z Wydziału Zdrowia w Rzeszowie nie dostarczyli recepty Biedy? Trzeba by im w takim razie sprawić okulary.

Czy wiesz?

- 1) Jaka jest najpiękniejsza budowla barokowa w dawnej Galicji?
- 2) W jakiej miejscowości naszego województwa przebywał w 1792 r. Tadeusz Kościuszko?
- 3) Według czyich planów przebudowano w XIX wieku zamek leski?
- 4) Jak nazywała się dawnej Bircza?

Odpowiedzi

- 1) Kościół Dominikanów w Nowohrodzie
- 2) W Sienawie koło Jarosławu
- 3) Według planów Władysława
- 4) Centego Pola

Wtajemniczeni

Hasło: BLIND
Odzew: PO BLINDZIE

Dopiero po tych słowach drzwi świetlicy koła sportowego „Ogniwo” w Nisku otwierają się i przybysz zostaje dopuszczony do grona wtajemniczonych.

Lecz biada intruzowi, to jest takiemu mieszkańcowi Niska, który zapragnie zabać się kulturalnie w swojej świetlicy. Choć uda mu się jakimś podstępem, lub też przemocą tam utargnąć — w pierwszej chwili nie ujrzy nic, prócz kłębow dymu i oparów z wódki. Gdy wzrok oswoi się z tym widokiem do strzech można grupę młodzieńców o bujnych czuprynach i skąpych nogawicach — grających w ferbla przy akompaniamentcie dosadnych powie-dzonek.

Z drugiego końca sali rozlegają się chrapliwe tony: Góru czy ci nie za-a-a-l...
Chór rewelersów? — Nie czterech pijaków!

Spod pieca dobiegają pomure rechoty. — To grupa domorostych satyryków opowiada sobie dobre kawały.

Nie brak w tym gronie i załazków przyszłych zespołów tanecznych. — Oto instruktor, młodzieniec powszechnie szanowany dla swoich mocnych pięści i ekscentryczne go stroju wzywa do ćwiczenia trudnego boogie-woogie.

Ogólny wygląd świetlicy nie zachęca naszego obserwatora do tańca, ani nawet do dłuższego przebywania w tym towarzystwie. Szybko w oknach powybijane, więc zimno. Na ścianach — nie przywoite rysunki, zamiast podłogi — śmietnik.

Pojmiecie więc, że niezbyt tu przyjemnie — członkowie zarządu koła sportowego „Ogniwo”!

Książeczki

Adenauerowi donoszą.
— Stan czytelnictwa na wschodnio-niemieckiej przedstawia się katastrofalnie. Trzy czwarte gmin nie posiadają w ogóle bibliotek, a w pozostałych ilość książek jest znikoma.

Na to Adenauer.
— To się wkrótce zmieni. Już się postaramy, aby każdy Niemiec otrzymał książeczkę od państwa.

— Jaką książeczkę?
— Książeczkę nowego Wehrmachtu.

Jeśli zbierasz... jeśli to przeszytaj



W dziesiątą rocznicę narodowego powstania w Słowacji, poczta czechosłowacka wprowadziła do obiegu dwa znaczki o wartościach 30 hal. i 1 kor. 20 hal., przedstawiające typy ówczesnych powstańców.
J. K.

Franki

Adam Ochocki

Sytuacja bez wyjścia

W pewnym punkcie usługowym Kierownika spytał klient:
— Czemu z dobrych materiałów Taką złą pan odzież szycie?

A kierownik w mig wyjaśnia:
— Już tu u nas próbowano szyc z gorszego materiału, Lecz wychodzi nam to samo.

W związku z nowym filmem polskim pt. „Uczta Baltazara”

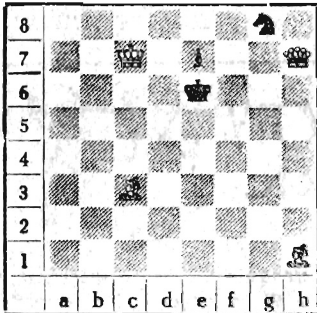
Gdyś zgłodził jest bardzo, Musisz mieć to na względzie, Ze nie huczna to „uczta”, Raczej skromne przyjęcie...

To zależy

— Słuchając referenta, gość rzecze do sąsiada:
— Z pewnością skrytykować go szczerzy zamiar macie... A ten się nachyliwszy, tak cicho odpowiada:
— Zależy co on mnie powie w swym referacie...

Pionkiem o jedno pole

Zadanie szachowe mat w 3 posunięciach



białe: Kc7, Hh7, Gc3, Gh1
(4)
czarne: Kc8, Sg8, pion e7
(3)
Z. 1

W XV turnieju kobiet o mistrzostwo ZSRR duży sukces odniosły szachistki Leningradu, zajmując cztery pierwsze miejsca. Niemala w tym zasługa tamtejszej sekcji szachowej, która prowadzi systematyczne szkolenie szachowe kobiet. Podajemy parcie E. Malinowej, która zajęła 3 miejsce. Partia ta zasługuje na uwagę, ze względu na zwycięską realizację przewagi w końcówce.

Białe E. Malinowa, czarne B. Boryrzuiko. Hiszpańska partia: 1. e4 e5 2. Sg3 Sc6 3. Gb5 ab 4. Ga4 Sf6 5. O—O d6 6. Gxc6+ bxc 7. c4 Sxd4 8. dxe Gg4 9. Hd3 d5 10. Sd4 Gd7 11. F4 Gc5? (błąd, prawidłowym było 11. c5) 12. Ge3 He7 13. Sd2 5xd2 14. Hxd2 O—O 15. Wf3 Gxd4 (t.a uwagę zasługiwało 15. ... Gb6) 16. Hxd4 Gf5 17. Hc3 He6 18. Wa-f1 h5 19. Gd4 Wa-b8 20. h3 (czarne osłabiają pozycję króla broniąc się przed groźbą 21. g4 hxg Gxg4 23. f5) 21. Wg3 Kg7 22. Wg5 (g4 grozi nadal, dlatego następny ruch czarnych wymuszony) 22. ... h4 23. Wf3 a5 24. a3 Wa8 25. Hz1 Wh8 26. Gf2 (w pozycji czarnych wiele słabości, białe wygrywają pioną) 26. ... Hz7 27. Wa-b8 28. Gxh4 Hd7 29. Wxf5 ixf5 30. Gf6 + Kg8 31. Gxh8 kxh8 32. Hc1 Wb6 33. g4 Hz4 34. b3 Hd4 + 35. Hz3 Hd1 + 36. Kf2 d4 37. Hd3 Hxd3 38. Wxd3 c5 (materialna i pozycyjna przewaga białych prowadząca do wygranej) 39. Kf3 a4 40. Kz4 c5 41. f5 Kg7 42. h4 Wa6 43. f6 + Kh6 44. z6 fxe 45. Kz5 c4 46. bxc c5 47. Wf3 czarne poddały, gdyż wolny pion „f” rozstrzyga.

Z. 1.



Ofiara przedświątecznego tłoku w autobusach